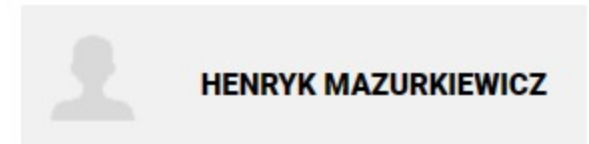


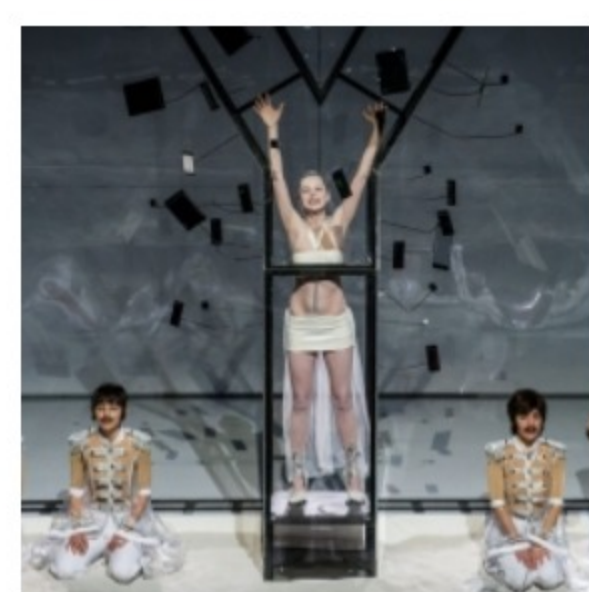
## Jabłko nie z tej strony nadgryzione

Y, reż. Paweł Passini, Teatr Muzyczny Capitol we Wrocławiu



HENRYK MAZURKIEWICZ

Doktor nauk humanistycznych, krytyk teatralny, członek redakcji portalu „Teatralny.pl”. Pisze dla



Fot. Łukasz Giza

**A było tak. Aktor Łukasz Wójcik miał pomysł, a raczej „pomysł na pomysł”. Jak powiada dyrektor Capitolu Konrad Imiela: „Łukaszowi zrymowała się biografia Steve'a Jobsa z piosenkami Beatlesów”. Zrymowała się – i dobrze. Dlaczego nie! Dalej do rymowania zaproszono Artura Pałygę. Ten, jak wyznaje w jednym z wywiadów, kilka razy zaczynał, lecz zupełnie nie wiedział, jak opowiadać taką historię.**

Postanowił więc, skoro słowniki poprawnej polszczyzny już na to zezwalają, zarówno „mleć” jak i „mlelić”. Czasami wręcz „mlić”, „melować” i „melenić”. Zdania, słowa i nawet litery. Wyszło mu z tego wiele nowych zdań i słów z jedną angielską literką na samym wierzchołku, czyli w tytule. Z ową „Y” (wye), i całym tekstem pod nią, dzielnie walczył Paweł Passini w roli reżysera.

Wyszło z tego tyle, że przez pół spektaklu miałem wrażenie, że oglądam nowe wielkie dzieło Krzysztofa Garbaczewskiego w Teatrze Polskim. Taki *Kronos 2.0*. Tylko zamiast Gombrowicza mamy wielkiego miłośnika Beatlesów i czarnych golfów Steve'a Jobsa. Zamiast robota, który nieustannie pisal: *I like to remember thing on my own way*, mamy na scenie miniaturową wersję słynnej *Yellow Submarine*. Nietypowa łódź, jak w strasznym śnie gimnazjalisty przed egzaminem z matematyki, ciągle jeździ z punktu A do punktu B i z powrotem. Tak samo jak w zadaniach podręcznikowych – nikt nie wie, po jaką cholereę to robi. Ale zanim zacznę dzielić się wrażeniami i pewnymi przemyśleniami, których będzie w tej recenzji zdecydowanie za dużo, porozstawiam figury na tej szachownicy. Porozstawiam... i od razu do wrażeń. Bo tak mniej więcej wygląda spektakl – nie jest to pełna napięcia partia, tylko mała szachowa łamiągówka, gdzie białe wygrywają, zanim jeszcze zaczęły.

Wygrywają, bo szpitalna biel, która jest też bielą jednej znanej „firmy od nadgryzionych jabłek”, wypełnia całą przestrzeń gry. Pośrodku sceny stoi wielka szklana konstrukcja w formie tytułowej litery „Y”. Na sterzających z niej cienkich metalowych drutach przymocowane są tablety, smartfony i inne współczesne „sakrogadżety”. Z przodu mamy dokładnie wycięty prostokąt piaszczystej plaży. W jednym z jej rogów widnieje duży plastikowy kontener na śmieci, do połowy wrośnięty w piach. Mieszka w nim niejaki Blek (Maciej Musiałowski) – młody, sympatyczny, nieco wstydlawy jąkała. Jego przyjaciel Dark (Cezary Studniak) – wysoki i zagadkowy, czeka na scenie, zanim spektakl jeszcze ruszy. Obaj panowie ubrani są w białe kostiumy z licznymi przezroczystymi kieszonkami, w których widoczne są różne komputerowe akcesoria. Za parę chwil dołączy do nich Steve Jobs (Łukasz Wójcik) z małym okrągłym akwariem na piersiach, a potem jego ulubienicy – legendarna liverpoolska czwórka. Johna Lennona (Helena Sujecka), Paula McCartneya (Justyna Antoniak), George'a Harrisona (Agnieszka Oryńska-Lesicka) oraz Ringo Starra (Pola Błasiak) w przedstawieniu, jak wynika z imion i nazwisk, zagrały kobiety. Dlaczego? A dlaczego nie? Czym w ogóle jest plec po tamtej stronie ekranu dotykowego? A właśnie tam, jeżeli cokolwiek zrozumiałem, znajdujemy się podczas tej dwugodzinnej przygody. W centrum tego dziwnego świata znajduje się debiut aktorski grającej Y Katarzyny Janiszewskiej. Młoda, czująca, przekonująca, świeża, wrażliwa – stanowi doprawdy cenną zdobycz dla całego zespołu. Jej monolog zaczynający się od słów „Chciałabym...” pozostał dla mnie najbardziej urzekającym doświadczeniem całego wieczoru. Nawet nie zważając na to, że podobne zabawy w *cumulatio* mają już długą i siwą brodę.

W pewnym momencie Black i Dark zadają publiczności pytanie: co w naszym życiu jest takiego, co wyróżniałoby je od „życia” aplikacji w najnowszym smartfonie? Co państwo na tak radykalnie postawione pytanie? Publiczność na premierze uparcie milczała. Twórcy przedstawienia najwyraźniej spodziewali się takiej reakcji, więc na pomoc zaniepokojonym widzom przychodzi nagranie z możliwymi odpowiedziami. Żadna z nich nie zadowala pytających. Proszę więc tych, którzy jeszcze nie obejrżeli spektaklu, aby starannie się przygotowali, pozbierali argumenty i urządzili twórcom mały performansik. Natomiast ja, jak obiecałem, pozbieram własne wrażenia.

Zacznę dość radykalnie. Czy dowiedzieliśmy się czegoś nowego o Beatlesach? No nie. Być może o Stevie Jobsie? Zdecydowanie nie. Z licznych jego biografii wydanych w ostatnich latach przynajmniej jedną przeczytał chyba nawet leniwy miłośnik cholernego (niech go wirusy trafią!) Lenova. Pozostaje pytanie o te wszystkie imitacje, emulacje, stymulacje, symulacje, z którym niejedyn taki Zygmunt Bauman żyje. Czy było w przedstawieniu coś nowego dla całego tego mocno rozpracowanego, za przeproszeniem, dyskursu? Szczerze mówiąc – nie za bardzo. Postawić dzisiaj pytanie o realność samej realności – to już zdecydowanie za mało. Lekko potrząsnąć posadami, na których trzyma się (wciąż jednak się trzyma!) status ontologiczny naszej na wpół zwiirtualizowanej *reality* – to też *not enough*. Spektakl kończy się pytaniami o oblicze nadchodzącej przyszłości i obietanką nowego *levelu*, od którego wszystkim zniesie dach. *Everybody will be crazy about it*. Otóż przyszłość, jak to zawsze z nią bywa, zniemacka nadeszła. Więc od tego *levelu* warto było zacząć!

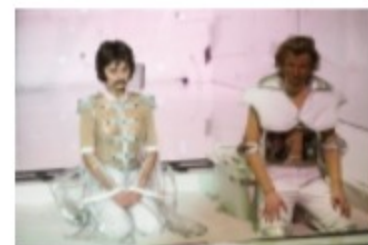
Jak na razie przygody z nowym „nadczołwiekiem”, z buddyjskim bogiem internetowym i prorokiem jego Jobsem, wszechobecną chmurą danych, która obiecuje każdemu cyfrowe zmartwychwstanie – przypomina materiał zebrany, lecz nie rozpracowany. Kiedy bowiem kusz z pikseli opada, okazuje się, że treści w całym przedstawieniu na połowę scenariusza zeszlorocznego *Ex machina* Alexa Garlanda, a głębi – na kilka stron *Golema XIV* Stanisława Lema. Nie wspomniawszy już o, dajmy na to, Wiktorze Pielewinie, który od lat zgrabnie grzebie dokładnie w tym samym temacie. Proszę przeczytać chociażby jedną z jego ostatnich powieści, żeby upewnić się, iż nawet z najbardziej odjechanych, filozoficzno-nie-wiadomo-jakich myślowych tańców-łamańców da się sklecić pewną fabułę. Ba, nawet mieć bohaterów – nieważne, jaką literą pisanych – a nie posługiwać się „pomysłami pomysłów” i „ideami idei”.

Niemniej jednak przedstawienie starannie udaje mądrość i głębię. A posługując się logiką świata przedstawionego – żadna to różnica: być czy udawać. Cóż, jeżeli kogoś to zadowala? Ja w swoim relatywistycznym epistemologicznym aż tak daleko się nie posuwam i posuwać się nie zamierzam. Nawet jeżeli sam Steve Jobs ze swej „chmurki” wykrzyknie „żem dureń”. Poza tym nie rozumiem, dlaczego z takim masochistycznym zapalem próbujemy siebie odrealnić, a potem jeszcze przekonać, że w sumie to *game is over*, że dookoła jeden tylko *bullshit* i w ogóle – *kill them all*. Siedzący na tej chmurze danych Zygmunt Freud zapewne nerwowo wyrwa sobie włosy z brody, patrząc na to wszystko z góry. Jeżeli tak pójdzie dalej, nasz austriacki *friend* zostanie bez hipsterskiej brody, co nawet na tamtym cyfrowym świecie jest zapewne bardzo nie *cool*.

25-01-2016

## GALERIA ZDJĘĆ

## Y, REŻ. PAWEŁ PASSINI, TEATR MUZYCZNY CAPITOL WE WROCŁAWIU



ZOBACZ WIĘCEJ



Teatr Muzyczny Capitol we Wrocławiu

Artur Pałyga

Y

reżyseria: Paweł Passini

muzyka i audiosfera: Łukasz Wójcik, Paweł Passini

piosenki zespołu The Beatles w aranżacji Łukasza Wójcika

scenografia i kostiumy: Elena Lola Loli

światło: Katarzyna Łuszczak

wizualizacje: Marek Miler

obsada: Łukasz Wójcik, Katarzyna Janiszewska, Cezary Studniak, Maciej Musiałowski, Helena Sujecka, Justyna Antoniak, Agnieszka Oryńska-Lesicka, Pola Błasiak, Tomasz Leszczyński, Tomasz Leszczyński, Elena Lola Loli, Ivona, Cezary Studniak

premiery: 8.01.2016

TAGI: [Artur Pałyga](#), [Paweł Passini](#), [Łukasz Wójcik](#), [Wrocław](#), [Teatr Muzyczny Capitol](#),

## SKOMENTUJ

Autor  lub zaloguj się

Treść komentarza

Aby potwierdzić, że nie jesteś robotem, wpisz wynik działania:

siedem minus cztery jako liczbę: 

KOMENTARZE ( 0 )